

ROK 1.

N^{ER} 8.

WARSZAWA.

Dnia 12^{1/2} Lutego 1866 r.

PISMO NIEDZIELNE DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 8) (Złp. 12).
Półrocznie „ — „ 90 (Złp. 6)
Kwartalnie „ — „ 45 (Złp. 3).

NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE:
Rocznie . . rs. 2 k. 44 (Złp. 16 g. 8).
Półrocznie „ 1 „ 22 (Złp. 8 „ 4).
Kwartalnie „ — „ 61 (Złp. 4 „ 2).

W CESARSTWIE:
Rocznie (z kopertą) rs. 4 k. 41 (Złp. 29 g. 18).
Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 44 (Złp. 15 g. 8).
Półrocznie, połowa tegoż.

Prenumerować można **Zorzę**: w Warszawie w Redakcyi Nr. 1019 uli. Grzybowska, lub w Redakcyi Gazety Polskiej Nr. 619 ulica Daniłowiczowska i we wszystkich Kantorach Gazet, a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych.

**Kto chce być użytecznym dla siebie,
powinien być użytecznym dla drugich,**

czyli

*o wzajemnych potrzebach i o podziale przemysłu
między różne stany.*

Nie ma człowieka na ziemi, któryby nie miał jakichś potrzeb; nawet dzicy ludzie, mieszkający w gorących krajach, obejść się bez nich nie mogą. Potrzebują oni schronienia przed deszczem lub przed dokuczliwymi upałami słońca. Ludy takie mieszkają w częściach świata zwanych Afryką, Ameryką i Australią. Nie budują one wprawdzie ani miast ani wsi, a jedyną ich pracą jest zrobienie i rozpięcie po nad sobą namiotu do spania, ubicie zwierza, aby mieć z niego skórę na odzież, dalej ustrojenie się w piękne pióra tamtejszych ptaków, i zawieszenie na szyi drobnych muszli nawleczonych na włókno łyka, zamiast koralu. Za naczynie do picia używają dużych muszli, pożywają się dziko rosnąciami owocami, ubitą mięsem surowym zwierząt, ptaków, ryb, a nawet gadów.

Nie gotują, bo garnków nie znają, ani sieją, ani uprawiają; nie mają żadnych rzemiosł, bo nie znają użytku z żelaza i innych kruszców.

Podobnie powiedzieć można o mieszkańcach bardzo mroźnych krain Północy, zwanych Eskimosami, gdzie każdy bardzo mało potrzebując, i nie mając wiadomości o wygodniejszym życiu, sam przez się potrafi postarać się i zrobić sobie wszystko, co mu potrzeba do ułożenia budy na mieszkanie i do zrobienia w niej dziury w miejscu komina. Tacy ludzie, jak widzimy, nie znają wyższej pracy, nie umieją *przemysłować* nad tem, aby tę pracę zrobić albo pośpieszniejszą, albo korzystniejszą, — jednem słowem, nie znają *przemysłu*, i dla tego to żyją tak dziko, i każdy robi tylko dla siebie. Ztąd też nie ma tam popędu do życia gromadnego, do wzajemnego pomagania sobie w różnych potrzebach.

Przeciwnie się już dzieje u nas, gdzie i najuboższy włościanin i najbiedniejszy mieszczanin bez pomocy innych obejść się nie może. Prawda, że jest i u nas dosyć takich ludzi, którzy wiele rzeczy potrzebnych do mieszkania, odzieży,

pokarmu, sami sobie zrobić, przyrządzić umieją, ale przecież potrzebują nabyć od drugich ludzi: siekiery, noża, świdra, dłuta, piły, kosy, szkła do okna, gwoździ i innych narzędzi; potrzebują do przyrządzania pokarmów naczyń, soli i t. d.: słowem, takie jak nasze życie, towarzyskie, życie w miastach i wsiach nie może się obejść ani na krok bez *wzajemnej pomocy*, bo nikt z nas sam sobie wszystkiego nie dostarczy, nie zrobi.

Takie to życie towarzyskie jest właściwie przyczyną, która każdego z nas zobowiązuje do pracy, do przemysłu, do rzemiosła, do służby, *aby każdy był użyteczny drugim, jeżeli chce sam dla siebie być użytecznym*. Do utrzymania naszego, do zrobienia wygodnego, zdrowego pomieszkania, dobrej odzieży, i zdrowego jadła, potrzeba wielurak zdolnych i szybkich, by umiały z czasu skorzystać i lepszy skutek robotom nadać. Tego wszystkiego na żaden sposób sam sobie jeden człowiek dostarczyć nie może, i dla tego łączenie się ku wspólnemu celowi wielu rąk, po fabrykach i zakładach, stało się koniecznym. Ztąd wzajemna sobie pomoc, o której mówiliśmy już dawniej, i wyręczanie albo raczej pomnażanie sił ludzkich przez maszyny, o czém także już poprzednio rozprawialiśmy, stało się w każdym społeczeństwie koniecznym.

Ale do tego wszystkiego potrzeba nauki i własnej przemyślności i długiej wprawy, włożenia się do jednej pracy, aby skutek był lepszy i prędszy. Ztąd to ludzie różne roboty podzielić między siebie musieli, ztąd każdy brał sobie właściwą mu *robotę, zatrudnienie, czyli fach, rzemiosło i sztukę*, która tém jest wyższa od rzemiosła, że nie tylko służy na pożytek dla ciała, ale przede wszystkim cieszy serce, rozwesela i podnosi ku Bogu duszę.

Tak więc jedni ludzie zajmują się uprawą roli, ogrodów, chowem trzód i dostarczają wszystkiego, co potrzeba do życia, do okrycia; oni także przygotowują surowe przedmioty do budowy mieszkań, naczyń, narzędzi i różnych potrzeb życia: — są to *rolnicy, ogrodnicy, pasterze, rybacy, myśliwi*, słowem wiejscy mieszkańcy. Inni znowu trudnią się przygotowaniem, przerobieniem tamtych surowych rzeczy tak, iżby wszystkim były przydatne i dogodne do rozmaitych użytków: — są to *rzemieślnicy, fabrykanci, sztukmistrze*. Zamieszkują oni zwykle miasta, aby nawzajem sobie łatwiej pomagać mogli, jedni drugim potrzebnych rzeczy udzielać, i żeby ich tam

każdy łatwo i zawsze w jednym miejscu mógł znaleźć: — są to wszystko *mieszczanie*, czyli mieszkańcy miast.

Dla tejto wzajemnej łączności mieszkańców wiejskich z miejskimi, dla tychto bliskich potrzeb, jednych i drugich, — Pismo niniejsze obrało sobie drogę wspólną dla tych i tamtych, i na tej drodze chce być dla nich przewodnikiem; boć wiele jest rzeczy takich, które pojąć i przyswoić sobie mogą korzystnie tak ci jak i tamci mieszkańcy naszego kraju, boć zresztą światłość jedna i ta sama jest dla wszystkich, tak jak jedno jest słońce, które dla wszystkich ludzi bez różnicy z woli Bożej na niebie świeci. Razem ich też powinienby zajmować rozwój przemysłu ogólnego, boć tak rolnicy jak i rzemieślnicy są przemysłowcami, każdy w swoim rodzaju.

Jak mieszkańców wsi cały przemysł ściąga się do uprawy ziemi, do pielęgnowania roślin, chowu zwierząt, do pierwszego przyspasabiania surowych przedmiotów na pokarm, na odzież i na różne inne użytki, — tak mieszczanie cały swój przemysł powinni zwracać nie do roli, nie do chowu zwierząt, ale do rzemiosł, do fabryk, do przerobienia i udoskonalenia surowych przedmiotów rolnych jak: skór, drzewa, zboża, lnu i tym podobnych. Dla tego człowiek, chcący żyć na wsi, powinien być dobrym rolnikiem, a mieszkaniec miasta dobrym rzemieślnikiem, fabrykantem, kupcem, sztukmistrzem.

Rolników w kraju naszym jest przeszło trzy razy więcej niż mieszczan, i tak też wciąż być powinno, jeżeli nie więcej jeszcze, bo kraj nasz głównie utrzymuje się z roli; posiadamy tyle gruntów, że inne przemyślniejsze od nas narody jak Niemcy lub Anglicy, kilkadziesiąt razy większą ludność potrafiliby pomieścić na gruntach polskich tak obszernych i w wielu miejscach tak złe jeszcze uprawianych. Z tém wszystkiém kraj nasz i bez rzemieślników ani na krok obejśćby się nie mógł. Widzimy bowiem, że rolnik pracuje dla potrzeb swoich i dla potrzeb rzemieślnika, fabrykanta; rzemieślnik zaś i fabrykant opatruje potrzeby rolnika.

Żeby zaś rolnik nie potrzebował sam szukać wszystkiego, czego zechce od rzemieślnika, jak również, żeby rzemieślnik roboty swoje łatwo mógł zbywać rolnikom i innym rzemieślnikom, znalazł się trzeci rodzaj ludzi, których całym jest zatrudnieniem brać surowe przedmioty od rolników i dostarczać ich rzemieślnikom i nawzajem,

wyrobione rzeczy pracą rzemieślników podawać rolnikom. Takie to jest zatrudnienie *kupców* i wszystkich *handlujących*. Rolnicy i rzemieślnicy utrzymują się i żyją ze swojej pracy, a kupcy, i handlarze żyją z zarobków za swoje posługi tąmtym. I jednych i drugich uczciwe i szlachetne jest zatrudnienie, z tą uwagą, że rolnicze zatrudnienie nie może być nigdy nieuczciwe, boć przecie ziemi, roli okpić nie można, a zatrudnienia handlującego najczęściej polegają na sumieniu i godziwości; więc tak pierwsi i drudzy jeśli pełnią, jak Bóg przykazał, swe obowiązki, zarówno są szlachetni.

Otóż wyliczyliśmy trzy stany społeczeństwa; są jeszcze inne, co się poświęcają usługom religijnym i to są kapłani, *księża*; inni *nauczają*, inni *rządzą*, inni wymierzają sprawiedliwość, przestrzegają porządku, spokojuości, bezpieczeństwa, czyli są *urzędnikami*, a jeszcze inni ratują nas w chorobach, jak *lekarze*; inni nas kształcą, oświecają lub bawią i rozrywają swą pracą, i to są *pisarze* książek, muzycy i aktorzy grający w teatrach. Takto wszystkie te stany ludności żyjącej społeczeństwem czynią *społeczeństwo*, w którym jedni dla drugich mają wzajemne obowiązki. Tu już widzimy, jak występny jest człowiek, kiedy nie dla innych nie robi, niczem się społeczeństwu nie przysługuje, a wiele rzeczy od niego śmie żądać! Prosty więc rozum nakazuje każdemu, aby dopóki mu służy zdrowie, pracował i dla siebie i dla innych, jeżeli chce mieć prawo do pracy i pomocy innych ludzi. Z tego wszystkiego widzimy, że ludzie składający wieś, miasto, powiat, a nawet cały kraj, uważać się powinni jako nawzajem sobie potrzebni i użyteczni, jako ludzie do jednego domu, do jednej rodziny należący. Że zaś taka rodzina nie jest warta i rychło pójdzie z torbami, gdzie nie ma wzajemnej chętności ku sobie, gdzie nie ma wspólnej miłości, tak też i wszystkie stany w społeczeństwie całego kraju, niby wielka jedna rodzina, kochać się powinni dla pomyślności i swojej po szczególe i dla pomyślności wszystkich.

O! jakżeż to mądrze Zbawiciel nasz, Pan Jezus, zawarł szczęście ludzkie w tém jednym z dwóch największych przykazań: *Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego!* O! jakże to religia błogo wspomaga całe życie, wszystkie postęпки człowieka!

Ale nie tylko stan jeden dla drugiego stanu jest pożytecznym; cały nawet kraj jeden drugiemu

krajowi przydać się bardzo może swym przemysłem, swemi wiadomościami i swemi płodami.

J. G.

I. DO ZORZY.

Witaj nam, Zorzo promienna!
Ty wlewasz w serca nadzieję,
Że przyszłość w szczęście brzemienna
Nam się rozśmiej!—
W wieśniacze wnikaszy ty chaty
Niosąc im serca ofiary—
Słowa: pociechy, oświaty
I Boskiej mądrości dary...
Ubóstwo cię nie zastrasza;
„—Bo wszyscy, braćmi naszymi”
Więc rzemieślników poddasza
Umacniasz też słowy swemi.
Nie szukasz poklasku ludzi,
A tylko w ducha pokorze
Twe światło do pracy budzi:—
O, szczęść ci Boże!—

II. KOWAL

(przy pracy.)

ŚPIEWKA.

Hęj! do młota, żwawo, dzieci!
Do roboty dawno pora;
Ot, słońeczko jasno świeci,
A czas krótki do wieczora.
„Jaki trud, taka zapłata”
Ta-ta-ta-ta, ta-ta-ta-ta!
Co tam durny Walek plecie:
Że najgorszy, to nasz stan, —
„Kto z pożytkiem jest na świecie”
To mi człowiek, to mi pan!..
„W pracy trzeba spędzać lata”
Ta-ta-ta-ta, ta-ta-ta-ta!

Człek, co prawda, zbyt niemoże,
Bo i sam też niema wiele;
Lecz ma litość... mocnyż Boże!

Choć się kąskiem z nędzą dzielę;

„Toć ratować trzeba brata,”

Ta-ta-ta-ta, ta-ta-ta-ta!

Są, co nad stan żyją butnie:

Blask dokoła, w złocie sługi;

Ależ w domu! — w końcu kłótnie,

Gdy po uszy zabrną w długie;

Codzień żydków tłum się złata

Ta-ta-ta-ta, ta-ta-ta-ta!

U mnie grosz za groszem goni,

Człek też nieraz i przepości;

Lecz od długów za to stroni,

W świętój żyje spokojności.

— Toć mi miłsza moja chata —

Ta-ta-ta-ta, ta-ta-ta-ta!

Miłeć nasze niskie strzechy!

Ta izdebka pobielana,

W której roskosz, gwar i śmiechy,

Żona miła i kochana;

Z dziełek będą ludzie może,

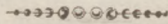
Więc Ci dzięki za to, Boże!

Boć to z dziełek plon dla świata,

Ta-ta-ta-ta, ta-ta-ta-ta!

Antoni Anczewicz.

NAROWY I PRZESADY LUDU WIEJSKIEGO.



Dobre rady dla szkodników.

Któż z ludzi, zwłaszcza mieszkańców miast wielkich, nie zapragnął odetchnąć świeżem wsi naszój powietrzem? Kto nie zatęsknił za jój spokojem i rajskiem weselem? Kto ujrzawszy zdala, nie powitał jój głosem jednego naszego mówcy: „witaj mi, witaj, wsi podolska, wsi chrześcijańska!.. nie taka jak ją zły obyczaj, i samolubstwo zeszpeciły; ale taka, jak ją Bóg stworzył, jak ją Kościół wychował.”

Zapewne, zapewne, zdala, jak tylko dojrzysz wieżyczki kościelnej, serce twe bije mocniej, a ciśną się do myśli obrazy rzeczywistego poświęcenia i miłości, jakie tchnie Boska religia Chrystusa.

Widzisz tu społeczność ludzką w całym rozwięciu, a ona stoi miłością i poświęceniem.

Widzisz tu ludzi na obraz Boga uczynionych, a jeżeli oni w pocie czoła pracują na kawałek chleba, co obżywia rodzinę całą, przemyślują też i o zbawieniu duszy swojej, która nie umiera.

Skromny kościółek stojąc pośrodku wioski, samą wieżyczką swoją strzelając w niebo, podnosi ku górze czoła i oczy wszystkich, a za nimi wzlata i myśl i serce ku niebu.

Cóżto dopiero, gdy w kościele stanie prawdziwy sługa Chrystusów, a Boskie Jego nauki prostym umysłem i sercem nieskażonym wiejskiego ludku rozpowiadać poczniesz! Pańszczyzna roboty ustała, ale pańszczyzna rady i miłosierdzia dla ludu, pańszczyzna miłości i wdzięczności ludu dla dobrze czyniących braci ustać nie powinna.

Oto, taki widok przedstawiała wioska, w której ksiądz Świętosław był plebanem. Pośrodku wsi na wzgórzu wznosił się kościółek drewniany; na lewo stał dworzec piękny i czysty, a przeglądał się niejako w szklanej tafli Wisły, gdy w nią zaświeciły przy wschodzie ranne promienie słońca. Na prawo stała plebania; domek pod słomą schludny i czysty; za domem ogród obszerny owocowy; w ogrodzie sadzawki zarybione, i szkółka drzew owocowych.

Ksiądz Świętosław uchodził za dobrego i wzorowego gospodarza, a lubo za młodu nie uczył się gospodarstwa, wyszedłszy na probostwo nie gardził radami starych i pilnie czytał wszystko, co o gospodarstwie pisano w kraju, a nawet za granicą.

Z pism tych ksiądz Świętosław czerpał wszystkie wiadomości i ulepszenia tegoczesnego gospodarstwa; a że sam był gospodarzem i gospodarzem praktycznym, to najprzód sam u siebie zaprowadzał wszelkie zmiany i ulepszenia, a gdy te się pokazały odpowiedniami dla naszego kraju, natychmiast zachęcał dwór i wszystkich włościan, żeby je naśladowali u siebie.

Gospodarstwo też księdza Świętosława odznaczało się ładem i składem, a służyło za wzór i pobudkę dla całej parafii. Zawsze on pierwszy rozpoczynał żniwo i kośbę, orkę i siew, a wszyscy dopiero za nim kwapili się z robotą.

— Kiedy Dobrodziej zacznie żniwo? — pytali gospodarze w niedzielę za interesem będący na plebanii; a gdy już zaczęli żnać na probostwie, to ten i ów kwapił się z robotą za drugimi.

Była też to rok rocznie uroczystość rozpoczęcia żniwa w parafii księdza Świętosława! W dniu

tym gromadził się ludźmi licznie do kościoła, każdy z sierpem na ręku; a gdy raniuteńko dnia tego odprawiło się nabożeństwo, z kościoła pokropieni wodą święconą, z pieśnią nabożną na ustach szli dopiero wszyscy na pole: ksiądz Świętosław ze swoją czeladką na czele, pan i pani ze swoją, każdy gospodarz do siebie, lub gdy nie miał zbyt pilnego żniwa, szedł na najem do proboszcza lub do dworu.

Tak w imię Boże rozpoczynały się żniwa, w imię Boże kończyły, bo znów w dniu Najświętszej Panny Zielnej z każdego domu niesiono wieńiec uwity z kłosów zboża i ziół rozmaitych i poświęcano go, żeby zboże poświęcone użyć do siewu, a zioła wszelkie do rozlicznych potrzeb i chorób.

Widać z tego, że ksiądz Świętosław za podstawę gospodarstwa położył religią i na nią opartą moralność.

Wzór jęj żywy stawał wciąż przed oczyma parafianom.

W domu księdza Świętosława codzienne roboty zaczynały się od wspólnej modlitwy. Zimą i latem wstawał o godzinie czwartej rano; wstawała też wszystka czeladź, a gdy zebrali się w domu, ksiądz Świętosław odmówił z nimi pacierz i krótkie modlitwy poranne; w niedziele i święta przez półgodziny miał do nich naukę, zwykle katechizmową. Tak samo po wieczery dzień każdy kończył się modlitwą.

W domu i gospodarstwie księdza Świętosława nie było nigdy słyhać ni skargi, ni płaczu i narzekania, ni tych ustawicznych przekleństw i wywoływań, któremi ekonomi w obec panów wykazują swoją rzekomą gorliwość. Tém mniej nie słyszano nigdy, żeby kogo bito, żeby nawet wolno było męczyć lub bić zwierzęta.

Czeladź księdza Świętosława wszystka była trzeźwa i pilna; pijak się tam dnia jednego nie ostał; złodzieja natychmiast wyganiano.

Nie zbywało nigdy przecież księdzu plebanowi na czeladzi, owszem zdaleka ludzie szukali u niego służby, bo wiernych sług swoich umiał wynagradzać, a każdy u niego kilka lat przesłużywszy, byle wiernie, miał coś grosza oszczędzonego z zasługi, miał jedną i drugą krówkę na oborze; z takim zasobem mógł już wyjść na gospodarstwo, w czém mu ksiądz Świętosław przychodził w pomoc i osiedlał go albo pomiędzy swymi poddanymi, albo we dworze, jeżeli jaka znalazła się pustka.

W całej parafii wszystko się na ten wzór gospodarstwa plebańskiego układało.

Ksiądz Świętosław często przypominał swoim parafianom potrzebę zaczynania od Boga i kończenia z Panem Bogiem każdej pracy, każdego przedsięwzięcia.

„Choćbyś ręce po łokcie upracował, mawiał do nich, a jak Bóg ci nie pobłogosławi, to nie mieć nie będziesz, przymrzesz nieraz głodu i bieda dobrze da ci się we znaki.”

„Nie pragnij cudzego, bo i swego nie pożyjesz.”

„Pracuj, a Bóg ma więcej, niżeli rozdał; da i tobie, kiedy dał tyłu, bo ręka Jego nie jest zamknięta, ani skurezona.”

„Broń cię Boże! żebyś miał ściągnąć rękę do cudzego, chcąc prędkiej się z bogacić. Cudze dobro nieprawnie nabyte nie bogaci, ale uboższym czyni, bo cię obedrze z enoty i poczciwości, a jak je raz utracisz, trudno je pozyskać powtórnie.”

Poszło za tém, że ludźmi ów pobożny i religijny, nasłuchawszy się tych nauk swojego pastora, a Boga mając zawsze przed oczyma, nigdy nie skusił się do cudzego mienia, nie zajrzał bliźniemu.

Nie słyszano też nigdy, by komu wypasiono zboże lub łąkę, albo zabrano mędle nocą z pola, lub siano z kopek. Każdy spał bezpiecznie, pewny swego mienia w domu i w polu, w oborze i w stodole.

Raz jednak takie nadzwyczajne zaszło zdarzenie.

Włódarz plebański, obchodząc każdodziennie pola i łąki, dostrzegł, że ktoś nocą zajeżdża i szkodę robi; doniósł o tem natychmiast swemu panu.

Ksiądz Świętosław prawie wierzyć nie chciał, żeby ktoś z jego parafian mógł się na to odważać, gdy już od lat kilkunastu o czém podobnym nie słyszano w jego parafii.

W początku wprawdzie jak nastał tam na probostwo, gęste były wypadki szkód, a prawie grabieży. Najeżdżali jeden drugiemu to łąki, to pola zbożem obsiane, były nieraz kłótnie, bijatki, a niekiedy włóczenie się po sądach.

Zabolał nad tém ciężko sługa Boży, i złe to wykorzenić postanowił.

Prawił i często im rozповідаł o karach Boskich na szkodników i złodziejów, bo to są sobie bracia rodzeni.

A gdy to niewiele pomagało, tak złe to było zakorzenione, ksiądz Świętosław przyzwał w po-

moc dziedzica, i najprzód to wpływem swoim wyjednał, żeby nikomu w nocy żadnego bydłęcia pasać na polu nie było wolno; popasiono z wieczora bydło i konie robocze zganiano do domu, a nadedniem dopiero wyganiano na paszę.

Każdy więc był bezpieczny o to, co miał w polu; nad rankiem ten i ów dobrze wyspany pilnował bydła, żeby szkody nie robiły, ten i ów szedł w pole do roboty. Później wszyscy zrozumieli własne swoje dobro i spokój, i za coś więcej to sobie mieli, niż wszelkie nieprawe korzyści. Wówczas to dopiero pojmovali dobroć Boga, który przykazaniami swemi ograniczając wolę zepsutą człowieka, jego własne dobro pomnaża.

Odzywał się też nieraz ksiądz Świętosław: „porównajcie, parafiankowie moi, czy wam dziś lepiej, iż każdy z was śpi spokojnie w nocy, nie myśląc, żeby mu kto w pole lub łąkę zajechał, i wypasł, i zniszczył całą jego pracę i nadzieję całorocznych zbiorów; czy też było wam wtenczas lepiej, kiedyś to niejeden nie spał dwie i trzy noce, a pilnował swego pola, aż oto na czwartą noc głęboko zasnawszy w domu, złodziej ci przyszedł i wypasł; obaczywszy zaś nazajutrz kłęś, przeklinałeś na czém świat stoi? Wówczas to nie jeden z was, rozgorzawszy pogańską żądzą zemsty, pomyślałeś sobie: „mnie wypasiono zboże lub łąkę, to i ja wypasę drugiemu;” i wganiałeś w nocy konie lub woły w zboże sąsiada i wychodziłeś sam na złodzieja! O, boć to wam, parafianie moi, niejednokrotnie mówiłem i powtarzałem, że tak samo, a nawet większym jest grzechem, bo większa szkoda, wypasć komu zboże lub łąkę, niż ukraść mu ze stodoły lub z komory.

„A dziś wszyscy śpicie spokojnie, pewni, że wam nikt szkody nie robi, chyba że przypadkiem wyrwie się bydło z obory, lub nie dopilnuje pastuszek.”

A ludek ów, dziś z naoczności poznawszy całą prawdę słów swojego pasterza, przywtarzał mu w sereu, a dziękował niejednokrotnie, iż złą plagę z parafii usunął.

Zdziwił się przeto niepomału ksiądz Świętosław, gdy się dowiedział od włóдаря o jakimś szkodniku we wsi. Zobowiązał przeto swoich ludzi, żeby niedospali jednej lub drugiej nocy, a ujęli tego złoczyńcę.

Jakoż niedługo czekając, bo zaraz nazajutrz po obudzeniu, doniesiono księdzu Świętosławowi,

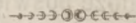
że szkodnik wraz z końmi jest ujęty i zatrzymany w plebanii.

Jak się to zakończyło, opowiemy na przyszłą Niedzielę. S.

POGADANKA.

o świecie i o wszystkich rzeczach, które na nim są.

Jakto ludzie umieją zbliżyć księżyc do swego oka? Jak on się obraca? Co z tego wynika? I czy księżyc jest kulisty?



Było to w Sobotę pod wieczór, w samo święto Narodzenia Matki Boskiej, gdy Nauczyciel do zebranej pod lipkami Popowickiej gromadki tak mówić zaczął:

— Nie miałem już czasu przeszłą razą objaśnić wam dobrze, moi sąsiedzi, o owych górach księżycowych, o których to Skiba wtedy mnie zagadnął. Słyszał on już raz dawniej odemnie coś więcej o nich, ale wam, coście o tém jeszcze nie słyszeli, chciałbym przekonać kilku słowami o prawdziwem znaczeniu tych plam na księżycu. Pamiętacie zapewne, jak wam mówiłem poprzednio, że wynaleziono już na świecie szkła takie czyli dalekowidy (lunety), co rzecz każdą o 1000 razy mogą przybliżyć. Otóż ci uczeni, astronomowie, co patrzeli nieraz przez takie dalekowidki na księżyc odległy od nas około 50,000 mil, mieli go przed sobą tysiąc razy bliżej, to jest tak jakby o 50 mil na niego patrzeli. Ujrzeni oni na nim przesliczne, wielkie i wspaniałe rzeczy! Widzieli tam ogromne i wieloliczne pasma wzgórzyste i pojedyncze góry z tysiącami wydrzeń jakby pierścieni, w ich środkach i naliczyli gór takich pierścieniowych 1,500, a niektóre z nich obliczono na 22,000 łokci wysokości. — Widzieli przytem wielkie wąwozy, doliny i cudne przeciąganie światła gazowego, ale nie dostrzegli wody, a tém samém i pary z tych wód, to jest chmur takich jak nasze, ziemskie. Te to niezmiernie wielkie góry, te wydrżenia i wąwozy i doliny czynią razem tak ogromne cienie, plamy na księżycu, że je z ziemi gołym okiem dostrzedz możemy, ludzie zaś nieświadomi, nie rozumiejący rzeczy, natworzyli o tém wszystkim wiele bajek, które i wy, czemu nie dziwota, po-

wtarzaliście dawniej. Ale teraz, jeśli tylko *wierzycie* szczerym moim słowom i życzliwości dla was, to sądzę, że pewnie już inaczej te plamy pojmować będziecie?

— O, tak tak, wierzymy i dziękujemy Panu Nauczycielowi za to nauczanie nas prawdziwe o tem wszystkiem, zawtórzyło naprzemian kilka głosów w gromadce.

Sajenka zaś tak się odezwał:—Jak też wielki być może księżyc, proszę Pana i czy on taką samą jest kulą jak ziemia?

Na to odpowiedział Nauczyciel.—Księżyc tak samo, jak wszystkie twory niebieskie, wszystkie gwiazdy, jest kulistym. Tę okrągłość widzicie w całej naturze, w całym stworzeniu. Jak ziarno piasku i kropla wody, tak nawet drzewo rosnące i człowiek i każde zwierze mają kształt okrągławy. Lepiej się o tém przekonacie, gdy posłuchacie uważnie jak to się księżyc obraca w przestrzeni nieba. Przekonali się uczeni astronomowie z różnych obliczeń i z ciągłego ślęczenia na wysokich wieżach, zwanych z cudzoziemska obserwatorye, a ponaszemu gwiazdziarnie, że i księżycowi nie wolno stać w miejscu, ale ruszać się w przestrzeni i krążyć naokoło ziemi i słuchać jej niby młodszy brat starszej swój siostry, boć to on 50 razy jest mniejszy od niej; a potem z tą siostrą ziemią musi pędzić dalej i krążyć dookoła słońca, niby około wspólnego rodzica. Pamiętacie też pewnie, jak mówiłem, że ziemia ma wielką siłę przyciągania wszystkich rzeczy do siebie i że słońce taką siłę przyciągania ma jeszcze większą, jako samo daleko większe od ziemi; siła ta słońca nie pozwoli ziemi odlecieć precz od siebie, tylko ją trzyma jakby na pasku, tak jak znowu siła ziemi nie pozwoli odbiedz księżycowi od siebie, jako mniejszemu i słabszemu tworowi, i dla tego musi się jej pilnować.

— A to on jest chyba z obydwóch stron jednak, rzekł Rospendek, kiedy plamy na nim zawsze są te same?

— Co jest po drugiej jego stronie, tego nie wiemy, rzekł Nauczyciel, bo my tylko jedną jego połowę zawsze widzimy.

— A dla czego to, proszę Pana, zapytał ktoś ze słuchających?

— To zależy od tego, rzekł Nauczyciel, że księżyc musi się dwojako obracać: raz jako koło na osi u wozu, to jest koło siebie, a przytém zaraz i dokoła ziemię okrążać. Ale te obroty są

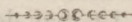
trochę odmienne od obrotu ziemi: bo ona obróci się w około siebie raz na 24 godzin, a księżyc, potrzebuje na obrócenie się około siebie więcej czasu, bo aż 28 dni, czyli 4 tygodnie, albo miesiąc czasu i dla tego też miesiącem bywa nazwany. Można by tu porównać dwa koła u wozu: jedno obraca się szybko na osi, niby ziemia, a drugie jakby na niesmarowanej osi też sunie naprzód niby księżyc, ale okręca się na osi bardzo powoli. Że zaś księżyc obiega dokoła ziemię także w ciągu 4 tygodni, więc to znaczy, że w tym obiegu raz się tylko dokoła siebie odwraca. Biegnie on w tej podróży koło ziemi jakby bokiem, ale suwać się musi niezmiernie szybko, bo najprzód, że powinien 12 razy do roku okrążyć ziemię, czyli przez 12 miesięcy i znowu razem z tą ziemią pędzić około słońca po ogromném kole. I z tych to okręcań się jego wypada, że ludzie na ziemi zawsze tylko jedną połowę jego kuli widzą, a głównie dla tego, że nie więcej tylko raz jeden musi się obrócić około siebie w tym samym czasie, gdy raz dokoła ziemi obiegnie. Przekonać się o tém można lepiej z tego przykładu. Postawmy na stole cokolwiek, naprzykład garnuszek i powiedzmy sobie, że to jest ziemia. Weźmy potem między dwa palce za ogonek jabłko, któreby na jednej stronie było czerwone, a na drugiej zielone, i to niech nam wyobraża księżyc. Wodźmy teraz w palcach tym jabłkiem dokoła garnuszka, niby dokoła ziemi, — więc jeżeli chcemy, aby jabłko zawsze było z jednej strony czerwonej obrócone do garnuszka, to przez całe okrążenie garnuszka, jabłko ogonkiem raz tylko dookoła siebie trzeba okręcić, bo inaczej, gdybyśmy go wcale przez ten czas nie odwrócili, to w końcu tej kołowej drogi, zamiast czerwonej ujrzelibyśmy zieloną stronę jabłka. Tak też rzecz się ma i z księżycem i że się raz tylko obróci około siebie, gdy raz ziemię obiega, więc też wciąż tylko jedną jego stronę widzimy, to jest stronę, na której wciąż te same są plamy.

Że oświecany przez słońce księżyc jest kulistym, to najlepszy dowód tego mamy w tém, iż tak po nowiu, jak naprzykład i przed pełnią widzimy go jak błyszczy albo wklęsłe niby sierp, albo też wypukło. Jest to znak jego kulistości; bo położmy tylko okrągłe jabłko na stole wieczorem, a z boku ustawmy świecę opodal od jabłka, to cień co się zrobi ztąd na jabłku i odzieli na niem odbite światło, zawsze będzie za-

okrągłony, dla tego, że jabłko jest kulą. Ale gdyby zamiast jabłka leżało tam coś płaskiego na stole, na przykład jaka deszczułka, to cień na niej od świecy odrysowałby się zawsze w prostej linii.

Na tém skończył Nauczyciel tego wieczora, a gdy się gromadka zaczęła rozchodzić do domu, poprosił ją uprzejmie o zebranie się następnego wieczora na dalszą gawędkę.

RÓŻNE — RÓŻNOŚCI.



I szpakowi nauka się przyda, a cóż dopiero człowiekowi! — Powiadają, że na Piwniej ulicy w Warszawie, cyrulik miał raz szpaka, którego nauczył gadać podciąwszy mu języka. Szpak nie tylko wyuczył się tych wyrazów, które mu cyrulik powtarzał, ale i tych nawet, które często usłyszał. I tak pan jego miał zwyczaj przy każdej sposobności mawiać: *jestem pierwszym Cyrulikiem w Warszawie*, albo też miał przysłowie takie: *z przyjaciółmi mości Dobrodzieju*; lub wręcz, kiedy się na chłopaka swojego rozgniewał, a przytrafiło się to codziennie, to go tak mianował: *duren z ciebie i kwita!* Szpasio tego wszystkiego się nauczył, i kiedy nieraz zeszło się do cyrulika dużo gości, to wtrącał się często z jakim wyrazem, który zupełnie stosował się do rozmowy, a ztąd niemało było pociechy, śmiechów, i sława szpasia po całej Warszawie gruchnęła. Szczególniej bawiło to gości, gdy chłopak pytał: *szpasiu! co robisz?* a ten mu odpowiadał: *duren z ciebie i kwita.*

Pewnego razu, gdy mu odrosły skrzydełka a okno było otwarte, i na dworze słońce pięknie świeciło, szpasia napadła chętka odzyskania wolności, i frunął w świat z pokoju. Niedługo bujał po błoniach, zaroślach, łąkach, bo wdawszy się w gromadę wałęsających się po lasku Bielańskim ptaków, popadł wraz z niemi w zastawione sidła. Gdy ptasznik nadszedł i spostrzegł, jak wielki ma połów, zaczął ostrożnie wydobywać jednego ptaszka po drugim, i każdemu łepkę ukrecał. Już kolój zbliżała się na szpaka, gdy tenże szamocąc się w rękę ptasznika, zaczął krzy-

czyć: jestem najpierwszym cyrulikiem w Warszawie. Ptasznik zrazu przeląkł się i cofnął, nie mogąc zrozumieć, co to znaczy; ale ochłonawszy z przestachu, poznał, że to dawny jego znajomy, co go nieraz rozweselał jak cyrulikowi inne ptaki na sprzedaż przynosił. A to ty, szpasiu! zawołał, — nie spodziewałem się, że cię tu złapię? Zkądże się tu wzięłeś? — *Z przyjaciółmi mości Dobrodzieju*, zakrzyczał szpasio, utrafiając w dziwny sposób na zapytanie.

Ptasznik odniósł szpaka cyrulikowi i dostał dobre znaleźne. Gdyby więc nie nauka, to szpasio nie byłby się wywinął od biedy. Odtąd pan go jeszcze lepiej polubił, a ludzie i z końca miasta przychodzili naumyślnie golić u cyrulika brody, byle tylko zobaczyć mądrego szpaka.

Bardzo trwała Zaprawa Mularska. — Jest nią mieszanina złożona z dwóch części popiołu drzewnego, z trzech części gliny i z jednej części piasku, rozwiedzionych stosowną ilością oleju. Zaprawa taka jest wytrwalszą od wapna i marmuru na wszelkie zmiany powietrza. Używają jej od niepamiętnych czasów Arabowie w Afryce, którą téż oni wynaleźli.

Smutne dzieci. — Pewna kobieta zapytała drugiej: — Czemu to wasze dzieci zawsze tak smutne? — Otóż, i ja się dziwię, choć je często za to bijemy z mężem, odpowiedziała druga.

Odpowiedź Redakcyi panu Sępowi. — O wymienione prace, w kształcie zapowiedzianym, upraszamy.

Z A G A D K A.

Co to jest?

Prędzej niż ptak chyży leci,
Wpadam pośród was na świecie;
Ni to ogień mnie oświeci,
Ani szczołka nie wymiecie,
Ani malarz zamaluje,
Ani mularz zamuruje.

Znaczenie poprzedniej zagadki: *Wiśnia-owoc.*